

# Paweł Bajko o sobie

## W Targoszycach

Gwaro było w naszej rodzinie. Było nas dziewięćoro rodzeństwa. Mieliliśmy niewielkie gospodarstwo, uprawialiśmy rolę. Jako drugi najstarszy musiałem dużo pomagać. Zaczynałem od pasienia krów. Nie dopilnowałem i krowy weszły w zboże sąsiada, ten je zarekwirował, a potem ojciec musiał je wykupić. W naszej wiosce nie było jeszcze szkoły, chodziłem do sąsiednich Żabczyc, odległych o pięć kilometrów. Gdy padał deszcz, mama dawała nam worki od kartofli, które służyły jako „parasolki”. Trochę inne niż dzisiaj było życie w latach dwudziestych ubiegłego wieku.

Całe nasze życie koncentrowało się wokół zboru. Mój ojciec był okręgowym prezbiterem Kościoła Chrystusowego na Polesiu. Brałem czynny udział w życiu Kościoła, jeździłem na zjazdy i konferencje. Już jako dwunastoletni chłopiec grałem w zborowej dętej orkiestrze. Jeździliśmy po okolicznych wioskach i miasteczkach, upiększając naszym graniem ewangelizacyjne nabożeństwa. Maszerowaliśmy główną drogą przez

wieś, dmąc w trąby. Ludzie się zbiegali, pytając, co się dzieje. A my zapraszaliśmy ich na wieczorowe nabożeństwo. I wielu przychodziło, choćby tylko po to, by posłuchać naszego grania. Po nabożeństwie młodzi bracia z naszej orkiestry szli zapoznawać się z dziewczętami, a mnie – jako najmłodszego – zostawiali, żebym pilnował instrumentów. Nie bardzo mi się to podobało!

Moje dzieciństwo i młodość to czasy powstawania pierwszych zborów Kościoła Chrystusowego w Polsce. Właśnie przyjechał z Ameryki Konstanty Jaroszewicz. Nawrócił się w Ameryce, ale pochodził ze Starowosi na Białostocczyźnie. Teraz rozpoczął pracę ewangelizacyjną na wschodnich rubieżach naszego kraju. Znałem osobiście również innych pionierów naszego Kościoła: Jerzego Sacewicza, Jana Bukowicza, Jana Władysiuka, Bolesława Winnika, Nikona Jakoniuka, którzy często bywali w naszym domu.

Mój ojciec był jednym z pierwszych, który się nawrócił i zaczął głosić Ewangelię w naszej wiosce. Mój wujek, Bazyl Bajko, był dyrygentem i w wielu zborach organizował kursy dyrygenckie. W Targoszycach, mojej rodzinnej wsi, zbieraliśmy się na nabożeństwa w prywatnych domach. Ale zbor rósł i brakowało miejsca. Trzeba było myśleć o budowie domu modlitwy. Mój dziadek Konstanty Misiukowiec dał na ten cel działkę ziemi, a zborownicy ofiarnie łożyli ze swoich skromnych funduszy i w 1931 roku stanął piękny, drewniany dom modlitwy. Tegoż roku odbył się tam Ogólnopolski Zjazd Kościołów Chrystusowych. Dziękowaliśmy Bogu za naszą kaplicę i cieszyliśmy się nią. W 1961 roku ten dom modlitwy spłonął, komuniści go podpaliili. Dopiero w roku 1997, dzięki Polskiej Chrześcijańskiej Misji, wybudowano tam nową, wspaniałą kaplicę.

## W Kobryniu

Po ukończeniu siedmioklasowej szkoły podstawowej, wyjechałem do Kobrynia, gdzie uczyłem się w gimnazjum. Mieszkałem



fol. archiwum rodzinne

Już jako dwunastoletni chłopiec grałem w zborowej dętej orkiestrze. Siedzę pierwszy z prawej

u Bukowiczów i Sacewiczów. Bywałem w domu Jaroszewiczów. Otworzył się przede mną nowy świat. Bardzo lubiłem przedmioty ścisłe i marzyłem o tym, by zostać inżynierem. Ale mój ojciec był innego zdania. „Synu – mówił – to wspaniała rzecz budować drogi i mosty na ziemi, ale ja bardzo bym chciał, żebyś ty budował inne mosty. Mosty łączące ziemię z niebem. Żebyś budował drogi wiodące do niebiańskiej ojczyzny. Bardzo chcę, żebyś został kaznodzieją i prowadził ludzi do Jezusa”.

W szesnastym roku życia przyjąłem Jezusa jako swego osobistego Zbawiciela. Chrzest przyjąłem w Brześciu, w 1938 roku, z rąk Jerzego Sacewicza. Próbowałem nawet głosić kazania. Pamiętam moje pierwsze kazanie. Praktykowałem długo przed lustrem. A gdy w niedzielę wyszedłem, by je wygłosić, wszystko wyleciało mi z głowy. Przeczytałem tylko wybrany werset, powiedziałem „Droży bracia i drogie siostry” i... usiadłem. Bracia starsi, nasi pionierzy, widać też mieli takie jak mój ojciec plany co do mojej przyszłości, bo nawet załatwili mi szkołę biblijną w Anglii. Ja jednak nie byłem do tego przekonany. Ciągle chciałem być inżynierem. Niestety, w 1939 roku wybuchła wojna, niwecząc i moje, i mojego ojca plany co do moich dalszych studiów. Zostaliśmy zaatakowani z dwóch stron – z zachodu przez Niemcy, ze wschodu przez Związek Radziecki. Polska, która ledwo zaczęła się odbudowywać po ponad stuletniej niewoli, nie miała żadnych szans w obliczu tak silnych przeciwników.

Nasze tereny zostały zajęte najpierw przez wojska sowieckie. Rosjanie zaraz zaczęli robić swoje porządki. Profesorowie z naszego gimnazjum zostali wywiezieni na Syberię. Na ich miejsce przybyli rosyjscy wykładowcy, a językiem wykładowym stał się rosyjski. Dostaliśmy też nowego dyrektora. W porównaniu do uczniów w przyzwoitych mundurkach, on tak jakoś biednie wyglądał w swoim wyświechtanym garniturze chyba z pokrzywą, bo na pewno nie z wełny. I nagle dyrektora nie było. Wrócił po paru dniach w porządnym, nowym garniturze. Dla nas był nawet dobry. „Ja was, Poliaczkow, liubliu...” – mawiał i często ratował, gdy zaczęły się zsyłki na Syberię. Wysyłali najpierw inteligencję, również gimnazjalnych uczniów. Wysyłali też co zamożniejszych ludzi i tych, którzy nie chcieli zapisać się do partii, no i „wrogów narodu”. Potem dowiedzieliśmy się, że i nasza rodzina była już na liście i gdyby Niemcy przyszli tydzień później, też znaleźlibyśmy się na Syberii. W czerwcu 1941 roku Niemcy przepędzili Rosjan i zajęli nasze tereny. Wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Niemcy zamknęli wszystkie szkoły, nasze gimnazjum też. Zacząłem szukać pracy. Właśnie otwarto sklep z leczniczymi ziołami i tam zacząłem pracować. Miejscowi wieśniacy zwozili różne zioła, myśmy je segregowali, suszyli i transportowali do Niemiec. Sklepem zarządzał jakiś Niemiec z Reichu, bardzo dobry i przyzwoity człowiek, przyjazny dla miejscowej ludności. Za zioła płacił solą, cukrem, a przede wszystkim smarami do wozów, które bardzo trudno było zdobyć.

Rok 1944. Front się przesuwają. Niemcy zaczynają się wycofywać. Idą słuchy, że armia sowiecka znowu się

zbliża. Pewnego dnia nasz szef zjawia się w biurze i powiada: „Rosjanie tuż, tuż. Ja wyjeżdżam. Tu są bilety kolejowe. Kto chce, może też wyjechać”. Szok, konsternacja. Co robić? Rodzice radzą, żebyśmy wyjechali. Nie wiadomo, co będzie. Raz już przecież byliśmy na liście na Syberię. Albo wezmą do wojska. Wyjechałem. Najpierw do Warszawy. Odnalazłem zbór baptystów. A tam pełno już uciekinierów z Kresów – około stu osób, poddenerwowanych, niezdecydowanych. Co dalej? Niemcy uciekają, Sowietów coraz bliżej. Dzięki staraniom br. Gutsche, bardzo znanego i poważanego kaznodziei, do Warszawy przyjeżdża jakiś fabrykant z Niemiec i zabiera nas wszystkich do swojej fabryki. Wyjechaliśmy w ostatniej chwili, dzień przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

## Na robotach w Niemczech

Pracowałem w fabryce, po dwanaście godzin dziennie, o kubku czarnej kawy i kromce chleba rano oraz misce wodnistej zupy i drugiej kromce chleba wieczorem. Mieszkałem w obozie dla robotników przy fabryce. Spaliliśmy na podłodze, na słomie, która wprost się ruszała od robactwa. Rozgoryczeni i rozżaleni chłopcy płakali, narzekali, przeklinali. A ja po skończonej pracy czytałem Biblię na naszej słomie i modliłem się. Najpierw wyśmiewali się ze mnie, rzucali we mnie poduszkami, ale z czasem zaczęli się interesować. „Poczytałbyś nam coś ze swojej Biblii” – prosili. I tak się zaczęło. Bóg otworzył przede mną wielkie pole misyjne.

Jednego dnia ostry gwizdek przerwał nam pracę. Kazano nam zebrać się na fabrycznym dziedzińcu i ustawiono w szeregu. Stoimy na baczność i czekamy. Zjawia się jakiś niewysoki, krępy Niemiec w randze pułkownika. Przechodzi raz i drugi wzdłuż naszego szeregu i wskazuje palcem na mnie i na mojego kolegę, Stefana Zubilewicza. Każe nam wystąpić i iść za nim. Zdrętwieliśmy. Co będzie? Dokąd nas prowadzi? Czym zawiniliśmy? Idziemy na stację kolejową i gdzieś przez chwilę jedziemy. Wsiadamy na jakiejś niewielkiej stacyjce. Idziemy przez las. Jakieś zabudowania, niewielka fabryka.

– Tu będziecie teraz pracować – powiada nasz pułkownik i przedstawia nas nadzorcy.

– Pracę rozpoczynamy o szóstej rano, do szóstej wieczorem – mówi i odjeżdża.

I tak zaczął się dla nas nowy etap. Z jednej strony lepszy, bo praca była lekka. Fabryka wyrabiała różnego rodzaju śrubki dla wojennego sprzętu. Ale z drugiej strony, bardziej uciążliwa, bo musieliśmy wstawać bardzo wcześnie, by zdążyć na pociąg i być na szóstą w pracy. W obozie jedliśmy śniadanie – tę czarną kawę i kawałek chleba, a do pracy zabieraliśmy menażkę z codziennie tą samą wodnistą zupą i znowu kawałek chleba. Po jakimś czasie nasz pułkownik znowu przyjechał do fabryki. Podeszedł do nas. Przywitał się, podał rękę.

– No i jak żyjecie? Podoba się wam praca w mojej fabryce? – zapytał.

– Tak, praca bardzo się nam podoba, tylko te codzienne dojazdy są takie uciążliwe – ośmieliliśmy się powiedzieć mu szczerze.

– To da się zmienić – powiedział. – Możecie mieszkać tu, przy fabryce.

Kazał opróżnić jakieś pomieszczenie na piętrze i przygotować dla nas dwa pokoje. Dał nam worek kartofli i kartki żywnościowe.

– Śniadania i kolacje będziecie sobie szykowali sami, a obiady załatwię wam w pobliskim obozie dla dziewcząt.

Potem zabrał nas do swojego domu na obiad. Przedstawił swojej żonie, a dwom małym swoim synkom kazał mówić na nas Onkel Paul i Onkel Stefan (wujek Paweł i wujek Stefan). Teraz rozpoczęło się dla nas iście rajskie życie. Obiady w żeńskim obozie – w porównaniu z naszym – wydawały się nam prawdziwymi ucztami. Potem dowiedzieliśmy się, że kierownikiem żeńskiego obozu był człowiek wierzący, który nie ujmował z przydziału dla pracujących, jak widać robił to kierownik obozu dla mężczyzn, w którym przedtem byliśmy.

Nasz wspałały szef kazał nam również zdjąć z ubrania naszytą literą P (od Pole, czyli Polak) i dał specjalne zezwolenie, umożliwiając nam w ten sposób swobodne poruszanie się. Ponadto za naszą pracę dostawaliśmy zapłatę, co – w przypadku osób zabranych na roboty do Niemiec – było już zupełnie niebywałe. Dzięki temu zaczęliśmy co niedzielę jeździć po różnych obozach i urzą-

dzać nabożeństwa. Przebywający tam przeważnie młodzi ludzie byli głodni i wynędzniali, przygnębieni, rozgoryczeni, zrezygnowani i zrozpaczeni, zmęczeni ciężką pracą i ciągłymi nalotami. Tęsknili za domem i bliskimi. Jutro jawiło się im czarne i beznadziejne. Z jaką radością i wzruszeniem słuchali pocieszających słów z Biblii! Prosilili o więcej i więcej. Ani Stefan, ani ja nie byliśmy przecież kaznodziejami, ani żadnymi duchownymi. Byliśmy po prostu wierzącymi ludźmi i czuliśmy się tacy słabi i nieudolni, niejednokrotnie wprost przytłoczeni ogromem odpowiedzialności za tych ludzi. I wtedy zrodziło się w mym sercu pragnienie, by poświęcić się całkowicie pracy dla Chrystusa. „Tak, tato, miałeś rację. Lepiej jest budować mosty łączące ziemię z niebem niż mosty na rzekach” – myślałem.

Wojna dobiegała końca. Z frontu docierały złe dla Niemców wieści. Armia niemiecka cofała się na wszystkich frontach. Atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. W obozach pracy wielkie podniecenie. Robotnicy uciekali ze swoich miejsc pracy. Różne szajki grasowały po okolicy, paląc i rabując. Zjawili się i w naszej fabryce. Stefan i ja trwaliśmy na naszych stanowiskach. Zobaczyli nas.

– Hej, koledzy! Chodźcie, spalimy tę waszą szwabską fabrykę!

– A wy swoją już spaliliście? – zapytałem.

– Tak.

– No to idźcie stąd! My sami będziemy palić naszą fabrykę!

I poszli. W ten sposób uratowaliśmy fabrykę człowiekowi, który okazał nam tyle serca. Na teren, gdzie byliśmy, wkroczyły wojska amerykańskie. Wyszliśmy im na spotkanie. Prędko domyślili się, że nie jesteśmy miejscowymi Niemcami. Dawali nam bochenki chleba i czekoladę. Ku naszej wielkiej radości zostawiali po sobie puszki z konserwami i inne pyszności.

### **W oczekiwaniu na emigrację**

Wojna się skończyła. Niemcy podzielono na cztery strefy: amerykańską, brytyjską, francuską i rosyjską. Ludzi wywiezionych na przymusowe roboty umieszczono w przejściowych obozach dla przesiedleńców, tzw. D.P. Camps (Displaced Persons Camps), gdzie oczekiwali, by wrócić do domu albo gdzieś wyemigrować. Życie w tych obozach było bardzo dobre. Szczególnie dla nas, młodych. Nie martwiliśmy się o przyszłość. Żyliśmy i cieszyliśmy się dniem dzisiejszym. Powoli zapominaliśmy o dwunastogodzinnej przymusowej pracy, o wodnistej zupie

i suchych kawałkach chleba. Ale nie wszyscy mieli takie bez troskie życie. Władze sowieckie wylapywały z obozów swoich obywateli, którzy nie chcieli wracać do domu, wiedząc, że czeka ich zsyłka na Sybir. Wielu Rosjan kryło się więc w obozach dla Polaków, zmieniając nazwiska na polskie. I wielu się w ten sposób uratowało.

Pewnego dnia w naszym obozie pojawiła się nowa dziewczyna. W wysokich oficerkach maszerowała jak żołnierz. „Raz, dwa, trzy cztery” – wołały za nią dzieciaki. „Biedny ten, któremu się ona trafi” – myślałem i nawet przez sekundę nie przeleciało mi przez głowę, że tym „biednym” będę ja.

W naszym obozie było wielu wierzących, w tym wielu kaznodziejów z różnych stron wschodniej Europy. Zorganizowano Biblijne Seminarium, do którego zaraz się zapisałem i które ukończyłem. Bardzo chciałem pogłębić moją wiedzę biblijną. Przypomniałem sobie, że po ukończeniu gimnazjum, ojciec chciał mnie posłać do jakiegoś seminarium w Anglii. Jakimś cudem miałem adres tej uczelni. Napisałem, pytając, czy jest jakaś możliwość, bym się tam dostał. Odpisali, że szkoła, niestety, została zamknięta, ale dali mi adres Earla



foto. archiwum rodzinne

W oczekiwaniu na emigrację

Stuckenbrucka, amerykańskiego misjonarza w Niemczech z ramienia European Evangelistic Society. Radzili, bym się z nim skomunikował. Pojechałem pod wskazany adres. Stuckenbruckowie przyjęli mnie bardzo serdecznie. Nie znałem angielskiego, a i niemiecki ledwo, ledwo, więc rozmowa była „długa”, a po niej bardzo bolały mnie ręce! Ale zrozumiałem, że jeśli uda mi się wyemigrować do Ameryki, to Earl Stuckenbruck pomoże mi dostać się do szkoły biblijnej.



fot. archiwum rodzinne



W dniu ślubu 16 czerwca 1951 r. i 50 lat później w 2001 r.

Zaczęła się emigracja i pierwsza grupa dziewcząt pojechała do Anglii, wśród nich moja narzeczona, Dela. Gdy potem Anglia zapotrzebowała mężczyzn, zgłosiłem się na wyjazd. Ale zanim dostało się pozwolenie na wyjazd, trzeba było przejść przez różne komisje. Komisję polityczną przeszedłem bez kłopotu, ale komisja lekarska nie wyraziła zgody: „Za wysokie ciśnienie. Nie nadaje się do pracy”. Jednym słowem – koniec moich marzeń o Anglii. Nie wiem, czy naprawdę miałem problemy zdrowotne, czy to moja ekscytacja wyjazdem i myśl o spotkaniu z Delą powodowały, że moje ciśnienie tak podskoczyło.

### Powracająca fala

Pewnego dnia zaproponowałem Stefanowi, byśmy odwiedzili naszego byłego szefa. Stefan się zgodził. Zapakowaliśmy niedużą walizkę różnymi prowiantami i pojechaliśmy. Okazało się, że już nie mieszkali w swoim domu, który zajęty został przez brytyjski sztab. W jakiejś piwnicy odnaleźliśmy żonę naszego byłego szefa

z dwoma chłopcami. Ucieszyła się, gdy nas zobaczyła. A gdy otworzyła walizkę i zaczęła z niej wyjmować konserwy, mleko w proszku, kawę i czekoladę, łzy popłynęły z jej oczu. Płakała jak dziecko, a my razem z nią! Okazało się, że jej mąż dostał się do niewoli.

- Czy możemy mu jakoś pomóc? – zapytaliśmy.
- Tak, napiszcie do władz, jaki on dla was był.

Napisałiśmy i to pomogło w jego uwolnieniu. Spotkałem naszego pułkownika raz jeszcze. Po latach, gdy już byłem żonaty i mieliśmy troje dzieci, wybraliśmy się całą rodziną do Polski. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Niemczech, by odwiedzić wujka Deli – Teodora Mosalkowa, który jeszcze przed I wojną światową wyjechał do Niemiec na studia. Wojna się skończyła, w Rosji szalała rewolucja i Teodor Mosalkow nie wrócił już do swego rodzinnego kraju. Pozostał w Niemczech, pracując najpierw jako lekarz, potem jako misjonarz, współpracujący z amerykańskim misjonarzem Earlem Stuckenbruckiem.

- A może warto odwiedzić mojego byłego szefa? – powiedziałem do Deli, gdy byliśmy już w Niemczech.
- A znajdziesz go? Mówiłeś, że fabryczka była gdzieś w lesie – powątpiewała Dela.
- Znajdę.

Pojechaliśmy całą rodziną. Tamtej fabryczki już nie było, a na jej miejscu stała nowa, wspaniała fabryka. W pięknym, nowoczesnym biurze poprosiliśmy sekretarkę o spotkanie z szefem. Za chwilę wprowadziła nas do jego gabinetu.

- Paul! Jaka cudowna niespodzianka! – wołał były pułkownik, zrywając się z biurka. Obejmował mnie i ścisnął jak rodzzonego syna.
- A to twoja rodzina?
- Tak. To moja żona i moje dzieci.



fot. archiwum rodzinne

Rodzina w komplecie



Rok 2008, otwarcie kaplicy w Koszalinie. Ostatni pobyt w Polsce

Ścisnął nas wszystkich po kolei. Po chwili chwycił za telefon i dzwonił do żony.

– Zgadnij, kto jest u mnie w biurze?

Pewnie wymieniała różne osoby, bo powtarzał w kółko: „Nein, nein, nein...”

– Paul Bajko z rodziną – oznajmił wreszcie.

Nawet nie mając słuchawki przy uchu, można było słyszeć jej radosny pisk.

– Tak, to on. Za chwilę przyjeżdżamy.

Zapytał o nasz bagaż i posłał kogoś na stację kolejową, by go odebrać. Zabrał nas do swojego domu, już nie w piwnicy, ani nie w przedwojennym małym domku. Dał nam dwa pokoje, mówiąc, że możemy się zatrzymać tak długo, jak zechcemy. A potem sprosił na kolację całą „śmietankę” miasteczka i opowiadał im o walizce z konserwami, którą przywieźliśmy jego żonie, gdy on był w niewoli, a ona z synami biedowała w piwnicy.

„Powracająca fala” – pomyślałem, przypominając sobie słowa z Biblii: „Puszczaj chleb twój po wodzie, a po wielu dniach znajdziesz go” (Kzn 11:1 BG).

## Wreszcie w Ameryce

Ameryka zaczęła wreszcie przyjmować emigrantów. W obozie radość wśród wierzących: „Pojedziemy do Ameryki. Prezydent Truman jest człowiekiem wierzącym, on nas wszystkich przyjmie”. Dla mnie ta nadzieja nie okazała się płonna. Lekarz amerykański pobłażliwie potraktował moje podwyższone ciśnienie i zapisał na emigrację. I nareszcie, w grudniu 1950 roku, wylądowałem na amerykańskim kontynencie.

Moim sponsorem był br. Leonowicz z Passaic, w stanie New Jersey. Znał osobiście mojego ojca i był przekonany, że to dla niego podpisywał papiery. Jakież było jego zdumienie, gdy w progu zobaczył młodego człowieka – jego syna! Sponsor był zobowiązany utrzymywać emigranta przez trzy miesiące i w tym czasie starać się

o niego dbać. Zdarzały się różne sytuacje, czasami niefortunne, a czasami bardzo śmieszne. Studenci robili wszystko, bym się dobrze czuł w tym nowym otoczeniu. Raz wpadł do mego pokoju kolega, mówiąc: „Paul, let’s go for a hot-dog!” (Paweł, chodźmy na hot-doga). Otworzyłem mój słownik. Znalazłem, że *hot* znaczy gorący, a *dog* – pies. „Zwariowali ci Amerykanie – pomyślałem – na jakie gorące psy chcą mnie zabrać?”. Tak oto dowiedziałem się o hot-dogach, które – nawiasem mówiąc – bardzo mi wtedy smakowały.

Żyjąc na uczelni, cały czas obcując tylko z Amerykanami, bardzo szybko opanowałem język angielski, chociaż słownik zawsze był pod ręką – do dzisiejszego dnia. Podczas wielkanocnych ferii pojechałem do Toronto, do Kanady, do mojej narzeczonej. Po latach pisanie listów, marzeń i tęsknoty nareszcie się spotkaliśmy. Ustaliliśmy datę ślubu na 16 czerwca 1951 roku. I znowu wróciłem na parę miesięcy do Stanów, na uczelnię.

Nareszcie czerwiec – nasz ślub. Udzielało go nam dwóch kaznodziejów: br. Gordiejew – nasz znajomy i przyjaciel z obozów w Niemczech i br. Rabucha – Kanadyjczyk, ponieważ br. Gordiejew nie miał jeszcze oficjalnych uprawnień do udzielania ślubów, ważnych przed państwem. Spędziliśmy razem letnie wakacje, a w końcu sierpnia musiałem znowu wracać do Ameryki, na moją uczelnię.

W 1952 roku ukończyłem Eastern Christian Institute (zaliczono mi moje obozowe studia w Seminarium w Niemczech) i zostałem ordynowany na kaznodzieję. Teraz choćby lotem ptaka do Toronto, do żony i do córki, która dwa tygodnie temu się urodziła...

**PAWEŁ BAJKO**

Fragment z: Adela Bajko, *Pod osłoną Najwyższego. Wspomnienia*, Chrześcijański Instytut Biblijny, Warszawa 2013.